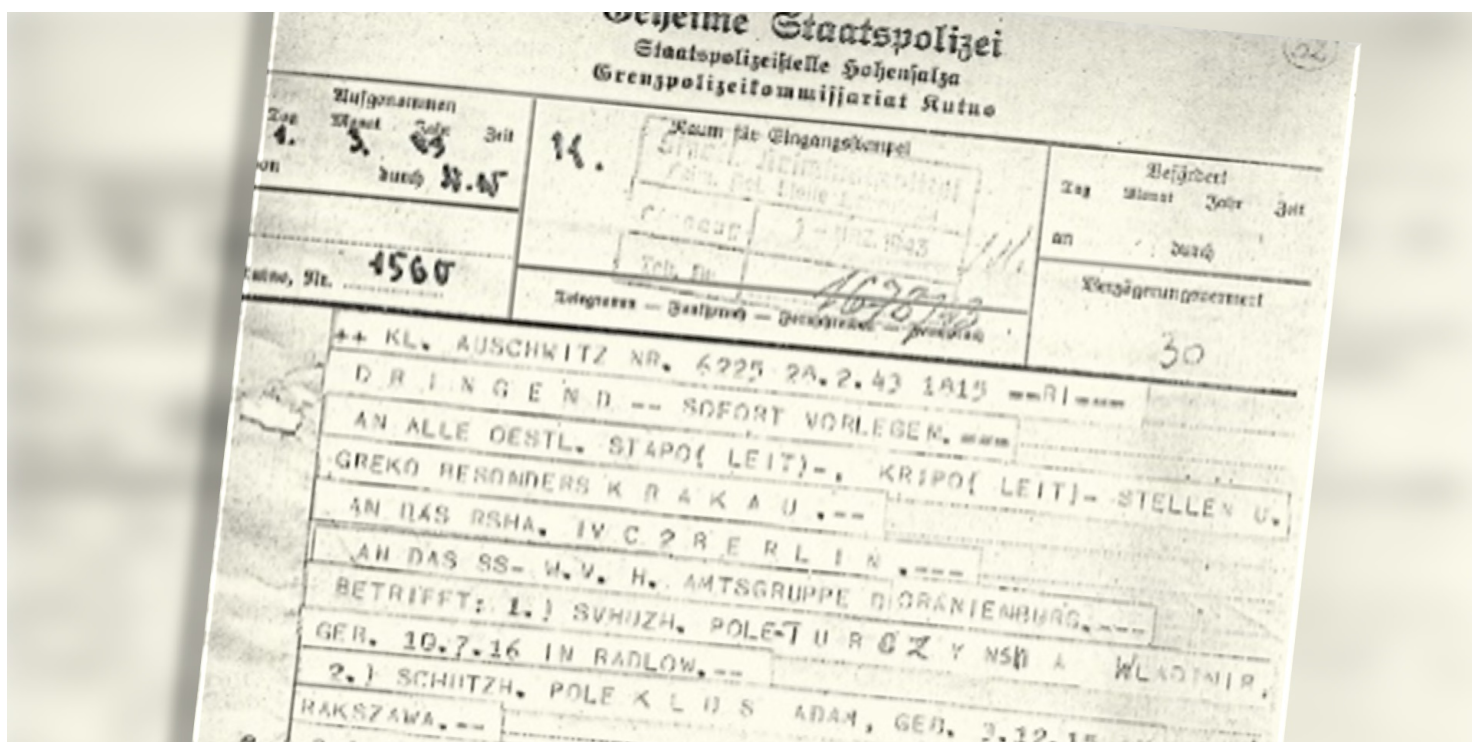


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/okupacja-niemiecka/34696,Wiezien-uciekinierekzekutor.html>



WYWIAD

Więzień, uciekinier, egzekutor

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: KAZIMIERZ ALBIN, MACIEJ FOKS 07.03.2019

Kazimierz Albin w latach 1940-43 więzień KL Auschwitz (numer obozowy 118) i uciekinier z tego obozu, a następnie żołnierz Armii Krajowej i wykonawca wyroków śmierci, kawaler Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski, opowiada o swoim doświadczeniu lat wojny i okupacji niemieckiej.

Pozwoli Pan, że zacznę od czegoś, co w piekle Auschwitz mogło się wydawać nieprawdopodobne - od sportu. Czy to prawda, że będąc więźniem, grał Pan w piłkę nożną?

Tylko w niedzielne popołudnia – mieliśmy wtedy wolne, a na terenie obozu nie było esesmanów. Na małej przestrzeni więźniowie zorganizowali wówczas coś na kształt boiska. Było wśród nas wielu piłkarzy z przedwojennej pierwszej ligi, jak Józef Korbas z Cracovii i Antoni Łyko z Wisły Kraków, a nawet kilku zawodników z reprezentacji Polski.



Kazimierz Albin - ur. 30 sierpnia 1922 roku w Krakowie; w styczniu 1940 roku aresztowany na Słowacji przy próbie przedostania się do Francji. Więziony m.in. w Muszynie, Nowym Sączu i Tarnowie, przewieziony pierwszym transportem do KL Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 118. Zbiegł z obozu w lutym 1943 roku. Został szefem dywersji bojowej III Odcinka Komendy Obwodu Kraków - Miasto Armii Krajowej. Był jednym z założycieli i prezesem Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem.

Zapewne chcieliście dokopać Niemcom.

Zorganizowaliśmy zespół, który miał zagrać mecz z drużyną niemieckich kapo. Było ich w obozie około setki.

Zaczęliśmy treningi. Piłkarze byli wycieńczeni, pracowali w różnych komandach. Należało ich podkarmić. Zorganizowaliśmy dla nich dodatkowe jedzenie i w ciągu dwóch, trzech tygodni byli w dobrym stanie fizycznym. Załatwiliśmy im także lżejszą pracę, pod dachem.

Piłkarze byli wycieńczeni, pracowali w różnych komandach. Należało ich podkarmić. Zorganizowaliśmy dla nich dodatkowe jedzenie i w ciągu dwóch, trzech tygodni byli w dobrym stanie fizycznym. Załatwiliśmy im także lżejszą pracę, pod dachem.

A co ze sprzętem? Graliście w drewniakach?

Nie. Zamiast piłkarskich butów zdobyliśmy zwykłe, sznurowane trzewiki... z magazynów obozowych. Dzięki temu, że Erich Gronke, szef komanda, w którym pracowałem, był niegdyś sędzią piłkarskim – piłki do futbolu i siatkówki zostały wykonane ze skóry w *SS-Bekleidungswerkstätten* (warsztatach odzieżowych). Zamiast spodenek nosiliśmy długie pasiaste gacie, a dla odróżnienia jedna z drużyn nie zakładała koszul.

Jaki był wynik rozgrywek?

W pierwszym meczu nasi zwyciężyli 3:1 – byli świetnymi zawodnikami. Niezależnie od tego zorganizowałem z kolegą z warsztatów drugą drużynę polską, składającą się z młodocianych, która zagrała z drugą drużyną kapów. Wygraliśmy 7:1 lub 7:0. Byliśmy świetni technicznie, graliśmy przed wojną w reprezentacjach gimnazjów.

Byli kibice?

Wokół gromadziło się co najmniej kilkuset więźniów, którzy obserwowali zawody i dopingowali nas. Przeciwnicy grali nie *fair*, ale Gronke odgwisdywał wszystkie faule. Grając w drużynie młodych, strzeliłem trzy

bramki.



Fot. ze zbiorów K. Albina

► Kazimierz Albin po jednej z akcji dywersyjnych w Krakowie



► Legitymacja na nazwisko Franciszek Makowski oraz dokument potwierdzający prawdziwe nazwisko Kazimierza Albina

Jakie dyscypliny można było jeszcze „uprawiać” w obozie?

Grałem w siatkówkę, ale najwięcej zwolenników miał boks. Widziałem fantastyczną walkę Tadeusza Pietrzykowskiego, zawodowego boksera z Warszawy, z Walterem Düningiem, mistrzem Niemiec, więźniem. Cieszyliśmy się, jak Polak lał Niemca. Były nawet okrzyki: „Lej Niemca!”. Pamiętam pięć lub sześć walk. W Auschwitz był również basen dla straży pożarnej. Mógł mieć ok. 20 metrów, ale odbywały się tam zawody. Grano w piłkę wodną. Bardzo krótko, tylko jeden sezon. Sport uprawialiśmy w 1942 roku, przez 6-8 miesięcy.

Porozmawiajmy o uciezkach. Jako więzień z pierwszego transportu pamięta Pan zapewne niesławny apel po ucieczce Tadeusza Wiejowskiego w lipcu 1940 roku.

Tego nikt nie zapomni. Staliśmy na baczność w szeregach na placu apelowym, kiedy stwierdzono, że brakuje jednego więźnia z komanda pracującego poza obozem. Więźniów z tego komanda zabrano na przesłuchanie. Bito ich, ale nikt nic nie wiedział, ponieważ nie pomagali Wiejowskiemu. Staliśmy na placu przez całą noc, a mieliśmy tylko drelichowe bluzy. Nad ranem zrobiło się strasznie zimno. Między szeregami więźniów chodzili kapo z lagami i jeżeli ktoś upadł, tłukli go niesamowicie. Po szesnastu godzinach bez jedzenia młodocianych zwolniono. Miałem szczęście, że znalazłem się w tej grupie, mieszkałem bowiem w bloku, z którego uciekł więzień. Po zwolnieniu nas, zgodnie z poleceniem komendanta Rudolfa Hößa, wybrano z tego bloku dziesięciu więźniów. Zginęli w bunkrze śmiercią głodową. Ale ucieczki więźniów podtrzymywały nas na duchu. Wiejowskiego nie ujęto.

Dzięki temu, że Erich Gronke, szef komanda, w którym pracowałem, był niegdyś sędzią piłkarskim – piłki do futbolu i siatkówki zostały wykonane ze skóry w SS-*Bekleidungswerkstätten* (warsztatach odzieżowych).

Z obozu w pomysłowy sposób zbiegł kapo Otto Küsel.

To było w grudniu 1942 roku. Küsel przydzielał więźniów do różnych komand. Pracowali z nim Mieczysław Januszewski, znający dobrze język niemiecki, oraz Bolesław Kuczbara. Ucieczkę przygotowano fantastycznie. Küsel zorganizował wóz drabiniasty zaprzężony w dwa konie. Wjechał przez bramę *Arbeit macht frei* na teren obozu i zgłosił, że z bloku 24 przylegającego do bramy ma zabrać cztery szafy. Wszedł do środka i kazał więźniom przenieść szafy na wóz. Po minięciu posterunków z jednej z szaf wyszedł Januszewski ubrany w mundur SS, z karabinem. Przejechali przez łańcuch zewnętrzny, gdzie okazali dokument uprawniający esesmana i jednego więźnia do przejazdu na zewnątrz. Po oddaleniu się na bezpieczną odległość z dwóch szaf wyszli Kuczbara i Jan Kowski-Baraś.

Co działo się w obozie po ich ucieczce?

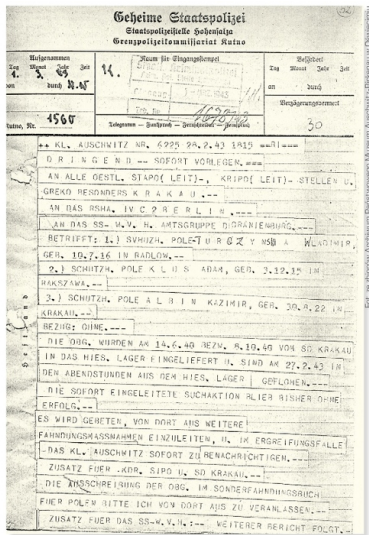
Cieszyliśmy się, a esesmani wpadli w furję, choć represji w stosunku do więźniów nie było. Uciekinierzy wpadli w Warszawie. Aresztowano najpierw Kuczbarę, był straszliwie torturowany i zmarł w czasie przesłuchań. Planowano zawieźć go do Auschwitz na konfrontację. Mieczysław Januszewski, aresztowany wkrótce po ucieczce, popełnił samobójstwo konwojowany do Auschwitz. Trzeci z nich, artysta malarz Jan Komski, przebywający w obozie pod nazwiskiem Jan Baraś, aresztowany w łapance w Krakowie, deportowany do Auschwitz, nie został zidentyfikowany. Koledzy obozowi umieścili go w transporcie do Buchenwaldu, co uratowało mu życie. Küssela osadzono w bunkrze. Miał dużo szczęścia. Wielu więźniów mu pomagało. Przeżył.

Pamięta Pan ucieczkę Kazimierza Piechowskiego, Józefa Lemparta, Eugeniusza Bendery i Stanisława Jastera?

Wtedy też nie było represji na więźniach. Aresztowano i przywieziono do obozu matkę Lemparta. Czytałem rozmowę w „Pamięci.pl” [nr 6/2012] – wiem, że Kazimierz Piechowski bardzo broni Jastera. Również nie wyobrażam sobie, żeby przeszkolono go jako agenta.



Przepustka Kazimierza Albina na nazwisko Franciszka Mskowskiego



› List gońcicy za zbiegami z KL Auschwitz



› Personalna karta więźnia nr 118

Czy ta ucieczka miała wpływ na Pana plany?

Chcieliśmy, jak koledzy, uciec w mundurach SS, ale w związku z ucieczką Piechowskiego administracja obozu zaostrzyła procedury. Każdy esesman, który znajdował się w dużej strefie obozowej, musiał mieć przepustkę, zmienianą dodatkowo co kilka dni. Zrezygnowaliśmy więc z mundurów, choć mieliśmy okazję je zdobyć.

W Auschwitz był również basen dla straży pożarnej. Mógł mieć ok. 20 metrów, ale odbywały się tam zawody. Grano w piłkę

wodną. Bardzo krótko, tylko jeden sezon.
Sport uprawialiśmy w 1942 roku, przez 6-8
miesiące.

Kiedy zamierzał Pan uciec?

Ucieczkę planowaliśmy na kwiecień lub maj, musieliśmy jednak przyspieszyć nasze działania. Pracowałem wówczas w kuchni SS. W sobotę 27 lutego 1943 roku późnym wieczorem czekaliśmy na mleko – na niedzielę mieliśmy gotować budyń dla esesmanów. Nagle z magazynu na dole wyszedł Franciszek Roman. Blady. „Włodek Turczyniak, Adam i Tadeusz Klusowie, Roman Lechner i Bronisław Staszekiewicz pakują się do uciezki” – powiedział. Widział, jak przebierali się w cywilne ubrania i przechodzili przez odgiętą uprzednio kratę. My byliśmy ubrani w białe drelichy, nie było szans, by odnaleźć schowane w kotłowni cywilne ubrania. „Jeżeli nie teraz, to nigdy, uciekamy za nimi” – pomyślałem. Franek wrzucił do worka dwa granatowe kombinezony. Zabrałem pół bochenka chleba i kawałek kiełbasy. Przeszliśmy przez odgiętą kratę. Odrzuciliśmy drewnianą kratę, którą była zakryta piwniczna wnęka, i wyszliśmy na zewnątrz budynku, do którego pilnowania wyznaczono pięcioosobową grupę esesmanów. To byli prości wachmani, zazdrościli nam, że pracujemy wewnątrz. Domyśliliśmy się, że dostaną od kolegów wódkę, kiełbasę i zadekują się w jakimś miejscu. Z jadalni, gdzie było spotkanie towarzyskie, padało światło z kilku wysokich okien. Wystarczyłoby spojrzenie jednego z uczestników biesiady i... Udało nam się jednak przeskoczyć w strumieniach światła. Trzeba było jeszcze przebiec duży teren ogrodzony siatką z drutem kolczastym na górze. Ogrodzenie nie było pod napięciem. Przeczłgaliśmy się pod spodem na drugą stronę. Przeskoczyliśmy szosę, zeszliśmy krzakami w kierunku Soły. Rzeką płynął lód. Noc była gwiazdzista, jakieś minus dziesięć stopni. Chcieliśmy uciekać na południowy wschód. Rozebraliśmy się i trochę płynąc, trochę przechodząc, znaleźliśmy się na środku rzeki. Dopiero w zimnej wodzie uświadomiłem sobie tragizm naszej sytuacji. Poprzedni etap uciezki był jakby we śnie. Odezwała się syrena obozowa, najpierw niskie brzmienie, potem wysokie zawodzenie. Usłyszałem alarm w koszarach. Ruszyły jednostki pościgowe. Słychać było szczekanie psów. Ścigający musieli jednak jechać około trzech kilometrów do mostu na Starówkę. Te minuty dały nam szansę przeprawy. Po wyjściu z wody na mokre ciało z trudem założyliśmy ubranie. Przeskoczyliśmy szosę prowadzącą z Oświęcimia na Brzeszcze. Pomyślałem, że trzeba przebiec przez podmokły teren, by psy straciły trop. Zobaczyliśmy światła samochodów. Podbiegliśmy kawałek i zalegliśmy w gęstych krzakach. Samochody zatrzymały się. Straszliwy hałas. Komendy. Szczekanie psów. Kilkuset esesmanów rzuciło się w kierunku Soły, na ogromny teren, który opuściliśmy. Na naszej wysokości był punkt dowodzenia. Grupa podoficerów SS wystrzeliwała rakiety świetlne – mrówkę można było zobaczyć. Kiedy spadła rakietka, człgaliśmy się pod osłoną krzewów. Później szliśmy na przełaj. Wokół wysiedlono Polaków i sprowadzono niemieckich bauerów. Wyjąca syrena obozowa była sygnałem również dla nich.

Połowali na więźniów?

Wychodzili z bronią na patrole i wyłapywali ok. 80 proc. uciekinierów, którzy chcieli przejść przez wieś. Wsie trzeba było obchodzić. Kierowaliśmy się w stronę rzeki Skawy, granicy Rzeszy z Generalnym Gubernatorstwem. Nad ranem na skraju pewnej wsi znaleźliśmy samotną stodołę. Zjedliśmy chleb i kiełbasę i przespaliśmy się trochę. Z braku wody jedliśmy śnieg.

Do przejścia granicy potrzebowaliście przewodników...

Zorganizował ich Franek, miał ze sobą marki i dolary zabrane z obozu. Pokazali nam przejście, mieli rozpracowany rozkład patroli. Noc była mroźna, ale nie było czasu, by się rozbierać. Kiedy po drugiej stronie rzeki wdrapywałem się na wysoki brzeg, miałem wrażenie, że w każdej chwili może paść strzał. Wszystko na mnie zamarzło, w butach chlupała woda. W końcu dotarliśmy do rodziny Franka, a po kilku dniach udało mi się przedostać do Krakowa.

Miał Pan pomysł, jak się ukryć?

Rodzina nie wchodziła w grę, ale przypomniałem sobie Wicka Jarosińskiego, prokuratora aresztowanego w czasie łapanki w Krakowie w 1941 roku. Wspólnie z innymi kolegami chroniliśmy go w obozie. Gdyby kapo dowiedzieli się, że jest prokuratorem, z miejsca by go załatwili. Ratowałem go zdobytą żywnością. Zaprzyjaźniliśmy się. Opowiadał mi o rodzinie. Matka prowadziła restaurację w centrum Krakowa, w pobliżu kościoła Mariackiego, gdzie przychodzili Niemcy. Dzięki łapówce udało jej się wyciągnąć syna z Auschwitz. Wicek powiedział kiedyś, że jest moim dłużnikiem i jeżeli będę potrzebował pomocy, mogę na niego liczyć. Odszukałem restaurację, sprawdziłem, gdzie znajdują się boczne wyjścia. Po wejściu do środka podszedłem do starszej pani przy kontuarze, jak zakładałem – jego matki. Poprosiła, bym zaczekał, bo Wicek ma coś do załatwienia na mieście. Usiadłem przy stoliku, blisko bocznego wyjścia. Kapelusza nie zdjąłem, gdyż miałem ogoloną głowę. Po raz pierwszy w życiu byłem w restauracji, zamówiłem piwo i kanapkę. Na sali słychać było niemieckich klientów. Po pewnym czasie pojawił się Wicek, spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczyma. „Kazik, ciebie też zwolnili?” – powiedział zdumiony. „Nie, wypieprzyłem z obozu i potrzebuję pomocy” – odpowiedziałem. Wicek zbladł. „Chwileczkę, poczekaj, zaraz coś załatwimy” – powiedział. Przyprowadził Tadeusza Tabora, który wziął mnie na kilka dni do siebie. Zamieszkałem przy Siemiradzkiego 2, w trzypiętrowej kamienicy, w dzielnicy w połowie zamieszkaną przez Niemców. Mój gospodarz mieszkał na parterze, na górze zaś niemieccy kolejarze. W tym domu spędziłem dwa lata. Zostałem tam zaprzysiężony.

Dostać się do AK nie było tak łatwo...

Sprawdzał nas kontrwywiad, gdyż w Krakowie była masa agentów gestapo. Na przydział do AK czekaliśmy parę tygodni. W tym czasie zrobiliśmy nielegalnie z Frankiem dwa wieczorne skoki na samotnie idących żołnierzy niemieckich dla zdobycia broni. Zaprzysięgał mnie porucznik Mieczysław Tabor, pseudonim „Kura”, brat Tadeusza, oficer zawodowy zbiegły z niewoli. Wiedział, że uciekłem z obozu. Znał też moje pierwsze dwa wypadki, dlatego przydzielił nas do dywersji. Przyjąłem pseudonim „Jędrak”. Skierowano mnie do podchorążówki, co było dla mnie zaszczytem. Program był przedwojenny – służba wewnętrzna, terenoznawstwo – poszerzony o naukę o broni niemieckiej. Korzystaliśmy z podręczników Wehrmachtu, przetłumaczonych na polski. Szkolenie trwało kilka miesięcy. Kurs skończyłem w listopadzie 1943 roku w stopniu plutonowego podchorążego. W 1944 roku zostałem awansowany do stopnia podporucznika.

Jakie były Pańskie zadania?

Jedną z moich pierwszych akcji dywersyjnych było wykonanie wyroku na granatowym policjancie. Mieszkał w piętrowym domku na Podgórzu. Weszliśmy z Frankiem na pierwsze piętro po skrzypiących schodach. Kolega został w korytarzu. Miał mnie ubezpieczać. Zadzwoiłem do mieszkania. Drzwi otworzyła starsza pani. Dowiedziałem się, że policjanta nie ma, przyjdzie za chwilę, na obiad. Gospodyni wprowadziła mnie do pokoju, posadziła przy okrągłym stole. Kiedy wyszła, zacząłem się rozglądać. Zainteresowały mnie zdjęcia. Okazało się, że na jednej z fotografii był mój kolega z gimnazjum. Zmarł na gruźlicę. Pamiętałem, że był synem policjanta. Gospodyni zauważyła moje zainteresowanie. „To jest mój syn, który zmarł przed wojną, podczas wojny zginął również mój mąż i został mi tylko jeden, najmłodszy syn” – powiedziała. Byłem załamany. Przypomniałem sobie swoją matkę i uświadomiłem sobie, że za chwilę będę musiał wykonać wyrok na policjancie w obecności jego matki. Usłyszałem dzwonek. Policjant wszedł do pokoju. Zamknął drzwi. Zostaliśmy sami. Nie miał przy sobie broni, musiał ją zdać na posterunku. Rozkazałem, żeby zamknął okna. Potem kazałem usiąść. „Wyrokiem sądu specjalnego zostałeś skazany na śmierć za współpracę z okupantem” – powiedziałem. Rozpłakał się. Opowiedział mi wszystko o sobie. Po wkroczeniu Niemców koledzy ojca, policjanci, namawiali go, by wstąpił do policji, co może uratować go przed wywózką na roboty do Niemiec. Mówił, że to pomyłka, że jest żołnierzem AK i blisko współpracuje z organizacją. „Wyrok zostaje zawieszony. Masz zostać na miejscu. I tak dosięgnie cię sprawiedliwość” – odpowiedziałem i wyszedłem. Franek czekał na schodach zaniepokojony, że nie słyszy strzału. O sytuacji zameldowałem w dowództwie. Najpierw dostałem ochrzany, że naraziłem organizację na niebezpieczeństwo. Jednak dowódca kazał zbadać sprawę. Zgadzało się wszystko to, o czym mówił policjant. Na najbliższym spotkaniu powiedziano mi, że wprawdzie wbrew rozkazowi nie wykonałem wyroku, ale dostałem pochwałę. Policjant natychmiast wyjechał na Podhale do oddziału partyzanckiego. W 1945 roku spotkałem go na ulicy, jak wracał z partyzantki po wkroczeniu Sowietów, z bronią i granatem za pasem. Uściskaliśmy się. Dziękował mi.

Za to wykonał Pan wyrok na funkcjonariuszu gestapo.

Mój zastępca Stefan Bernaczyk pracował w *Luftschutzhilfsdienst* (Pomocniczej Służbie Przeciwlotniczej), dlatego wyrok postanowiliśmy wykonać w mundurach tej formacji. Miałem płaszcz, czapkę i buty z cholewami. Ponieważ amunicja mogła zawieść, umówiliśmy się, że będziemy strzelać jednocześnie. Był jesienny poranek, ludzie zmierzali do pracy. Kroczyliśmy ulicą, jak na patrolu. Gestapowca wskazał nam z daleka młody człowiek na rowerze. Szedł w cywilnym ubraniu, z teczką. Wyciągnęliśmy pistolety i z odległości trzech metrów oddaliśmy po jednym strzale w korpus. Gestapowiec widział, jak wyciągamy broń, ale sam nie zdążył. Zapamiętałem jego paniczny wyraz twarzy, jak padał. Kiedy leżał na ziemi, strzeliłem mu w głowę. Ludzie zaczęli uciekać. Dotarliśmy na miejsce, gdzie uprzednio ukryliśmy rowery. Wyjechaliśmy z dzielnicy niemieckiej.

Na stole zauważyłem kordzik z zeszlifowaną niemiecką wroną. Czy to zdobycz wojenna?

Tak. Rozbroiliśmy funkcjonariusza NSDAP w mundurze galowym. Miał pistolet Walter 7,65 mm i ten piękny kordzik z orłem niemieckim. W 1945 i 1946 roku obchodziliśmy święto 3 Maja. Była defilada. Kolega z obozu, pilot Jurek Radwanek, poprosił, bym mu tę zdobycz pożyczył. Zeszlifował wronę i z takim kordem wystąpił na uroczystościach.

W Warszawie AK przeprowadziła słynną akcję „Góral”, podczas której uprowadzono samochód bankowy. Tymczasem Pan brał udział w akcji na drukarnię Banku Emisyjnego w Krakowie, gdzie produkowano okupacyjne banknoty.

Rozpoznanie zrobił jeden z kolegów z konspiracji, który był tam zatrudniony. Pracownikami byli Polacy i Niemcy. Po godzinach budynku pilnowało dwóch żandarmów, zmieniających się co kilka godzin. Z rozpoznania wiedzieliśmy, że żandarmi, którzy powinni czekać do godziny 8.00, o 7.30 opuszczali budynek. Mieliśmy zatem 15-20 minut na przeprowadzenie akcji. Było nas pięciu, ale masę ludzi ją ubezpieczało. Po wyjściu żandarmów natychmiast weszliśmy do środka. Zająłem się przerwaniem łączności telefonicznej. Związaliśmy polskiego pracownika, prawdopodobnie stróża, nie stawiał żadnego oporu. Zaczęliśmy ładować pieniądze. Miały to być duże nominały, ale okazało się, że w tym dniu wydrukowano banknoty dwudziestozłotowe. Wyszliśmy z łupem 2,5 mln złotych dosłownie pięć minut przed wejściem pierwszych pracowników.

Interesujących wydarzeń z Pana udziałem było więcej - nie da się ich niestety zmieścić w tak krótkiej rozmowie. Wróćmy na koniec do obozu. Kiedy po raz pierwszy po wojnie odwiedził Pan jego teren?

Po ośmiu albo dziesięciu latach po wojnie. Jako oficer krakowskiego Kedywu miałem problemy z UB. Wówczas

lepiej było unikać kontaktów z okresu wojny. Teren byłego obozu odwiedziłem z okazji rocznicy pierwszego transportu. Ponieważ nie było hoteli, mieliśmy nocować na jednym z bloków. Spaliśmy na trzypiętrowych łózkach. Różnica była taka, że mieliśmy czystą pościel, a w pobliżu była łazienka. Spałem na górnym łóżku. W północy zobaczyłem oświetlone druty, które kiedyś były pod wysokim napięciem. Zbudziłem się zlany potem – byłem przekonany, że znów jestem w Auschwitz.

Tekst pochodzi z numeru 2/2014 miesięcznika „Pamięć.pl”

Wprowadzenie dodane przez redakcję

Rozmawiał Maciej Foks

Współpraca: Rafał Pekala

COFNIJ SIĘ